Tu rodził się zachwyt nad życiem

Ks. Arkadiusz Wuwer (ur. 1966), doktor socjologii, mgr lic. teologii, kapłan Archidiecezji Katowickiej, archidiecezjalny duszpasterz dziennikarzy, adiunkt w Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego.

Wejście do szkoły po remoncie. 2007 r.

– Jak Ksiądz wspomina 50. jubileusz szkoły?

– Przyjechałem specjalnie na tę okazję z Rzymu, gdzie wtedy studiowałem. To była bardzo wzruszająca uroczystość. Namioty na boisku… Moją uwagę zwróciła wówczas następująca informacja: w ciągu 50 lat istnienia szkoły z liceum wyszło 50 księży. Pamiętam również pewną prawidłowość: im starsze roczniki, tym więcej uczestników brało udział w obchodach. Z mojego rocznika matury, 1984, pojawiły się raptem 3–4 osoby. Pomyślałem więc, że szkołę docenia się chyba wraz z upływem czasu. Im większy dystans czasowy nas dzieli, tym – być może – ta szkoła jest bardziej wyidealizowana, tym bardziej z pewną nostalgią sięga się do czasów, kiedy byliśmy młodzi, pełni ideałów i optymizmu. Ale widocznie nie jest to do końca prawidłowość; bo mnie takie odczucia, odnoszące się do liceum, towarzyszą cały czas, chociaż nie uważam się za przedstawiciela bardzo zaawansowanej wiekowo generacji maturzystów. Pierwsze wrażenie, pierwsze wspomnienie dotyczące liceum wiążę z momentem, kiedy po ukończeniu szkoły podstawowej w Turzy Śląskiej pojawiłem się w tym budynku, który w pewnym sensie przeraził mnie swym ogromem: wydał mi się potężny, żywy, z tłumami uczniów – coś, co było jakby z innego, wielkiego świata, otwierającego się przed chłopakiem z wioski. Wyglądało to poważnie. Wróciłem w to samo miejsce chyba 10–15 lat po maturze i zdumiałem się, jaka mała jest ta szkoła. Taki mały budynek, taki zwyczajny. Ale myślę, że ta zmiana perspektywy jest normalna, naturalna; nasz odbiór zmienia się wraz z doświadczeniami, które nam życie przynosi, które przyjmujemy. Szkoła była mała jako budynek, oczywiście, natomiast zawsze pozostała wielka jako miejsce zaciekawienia światem. Myślę, że to jest cała istota i to coś, co szkoła mi dała: inspirację do zaciekawienia światem, do zaciekawienia życiem, do zaciekawienia ludźmi.

Miałem szczęście do wspaniałych wykładowców, wspaniałych profesorów. Na pierwszym miejscu niewątpliwie wymieniłbym panią Danutę Karwot, moją wychowawczynię – człowieka wielkiego formatu, prawdziwego pedagoga z powołania: zawsze otwarta, życzliwa, zainteresowana także naszymi planami odnoszącymi się do przyszłości; mamy kontakt do dziś i jest to kontakt bardzo ubogacający. Można by przywołać wiele anegdot, wiele historii, które wspomina się po latach z nostalgią. W moim przypadku szczególnie odnoszą się one do prof. Saneczko, łacinnika ze szkoły jeszcze przedwojennej. Był to również czas bardzo trudny, bo czas stanu wojennego, bardzo małych perspektyw odnoszących się do współpracy z innymi ośrodkami, z wymianą zagraniczną, z tym wszystkim, co dzisiaj wydaje się normalne i często jest niedoceniane przez uczniów. Wówczas jednak wyjazd do Allianz Frances do Krakowa, żeby tam porozmawiać z prawdziwym Francuzem, był przeżyciem, którym żyliśmy kilka miesięcy przed i po tym wydarzeniu – było to doświadczenie niezwykle inspirujące, ubogacające, fajne po prostu.

Ks. Arkadiusz Wuwer. Fot. ks. Grzegorz Srzelczyk.

– Czy uważa Ksiądz, że współczesnym uczniom szkoła będzie się z podobnymi wspomnieniami kojarzyć?

– Nie wiem, bo nie mam kontaktu ani z systemem kształcenia zreformowanym już przecież od tego czasu wielokrotnie, ani z samą młodzieżą na tym poziomie – licealnym czy gimnazjalnym – raczej spotykam się ze studentami. Z obserwacji młodych ludzi, którzy przychodzą na pierwszy rok studiów, wnioskuję, że należałoby życzyć im większej pasji życia, większej pasji poznania; świadomości tego, że życie nie jest nieskończenie długie i że młodość to najlepszy czas, żeby się światem zaciekawić, żeby starać się szukać tego, co może stanowić zasadniczą treść życia. Liceum na pewno to umożliwia, bo przecież taka jest w ogóle idea szkoły ponadgimnazjalnej – to szkoła, która prowadzi do dojrzałości, do matury, więc do tego, że się bierze losy w swoje własne ręce. I myślę, że te zadania szkoły są nadal aktualne, a w przypadku I Liceum im. 14. Pułku Powstańców Śląskich w Wodzisławiu Śląskim aktualne tym bardziej.

– 60. jubileusz zobowiązuje…

– 60. jubileusz zobowiązuje. Trzeba życzyć szkole, żeby – patrząc w dalekiej, niemal eschatologicznej perspektywie chrześcijańskiej – przyszłe pokolenia mogły przeżywać jej 600. jubileusz. Życzyłbym szkole, żeby kadra nauczycielska prezentowała taki poziom, ludzki przede wszystkim, ale i naukowy, jak to było w naszych czasach; żeby umiała harmonijnie pogodzić dawanie wiedzy z troską o kształt człowieczeństwa swoich uczniów. Żeby to byli ludzie, którzy są autorytetami, którzy pociągają – wtedy chce się być takimi, jak oni. Żeby potrafili zarazić pasją, o której wspominaliśmy. Dzisiaj w ogóle mamy deficyt autorytetów, a sądzę, że szkoła i okres dorastania mogły być i powinny być właśnie czasem szukania autorytetów. Czego mógłbym życzyć samym uczniom? Żeby doświadczenia wyniesione z tej szkoły owocowały podczas studiów, podczas przyszłej pracy i żeby z taką samą wdzięcznością wspominali swoich nauczycieli i swoją szkołę, jak ja wspominam po 25 latach od matury.

Z ogromną wdzięcznością wspominam różne wydarzenia i samych nauczycieli. Pani Zofia Bednarczyk od języka rosyjskiego, która była bardzo wymagająca, pani Marta Polok – matematyk, pani Maria Szczotok od historii, pani Anna Bąk z chemii, pan Henryk Tabor z techniki, pan Henryk Nogły z wuefu… Mógłbym tak wymieniać wszystkich. Wówczas to było liceum przodujące pod względem chociażby wyposażenia. Mieliśmy jako jedno z nielicznych liceów studio telewizyjne – wówczas nowość zupełną. Był to czas, że ze szkoły nie chciało się wychodzić. To było piękne. Jakieś zajęcia dodatkowe; sami żeśmy sobie urządzali zajęcia: jakiś zespół muzyczny, koła teatralne, dokształcanie językowe. Na aulę wróciłem po 20 latach, kiedy zostałem zaproszony do wygłoszenia referatu podczas spotkania z okazji rocznicy powstania Solidarności. Co mnie, pamiętam, zaskoczyło, to zapach desek podłogi, zasłon… Coś w rodzaju ciasteczek Prousta – magdalenek – wyzwalających wspomnienia.

– *Często wracał Ksiądz w mury Jubilatki?*

– Już podczas studiów każdy przyjazd do domu zawierał obowiązkowy punkt: wizytę w liceum, spotkanie z nauczycielami, zawsze życzliwymi i ciekawymi losów swoich wychowanków, liczne opowieści… Dłuższy wyjazd zagraniczny przerwał te wyprawy, kadry nauczycielskie też się zmieniały, ale mimo to wracało się zawsze z ogromną potrzebą odwiedzenia tych miejsc jako miejsc znaczących, miejsc szczególnych w życiu. Natomiast samą maturę wspominam sympatycznie. Tzn. system maturalny był taki, że po egzaminie pisemnym z języka polskiego i z historii, w moim przypadku, nie byłem już zobowiązany do składania egzaminów ustnych. Pamiętam, że zdawałem jedynie francuski – też z olbrzymią przyjemnością, gdyż była to moja pasja (brałem udział w olimpiadzie z języka francuskiego). Raczej więc odwiedzałem kolegów, by ich podtrzymać na duchu,

czy koleżanki przede wszystkim, bo moja klasa była wyjątkowa: liczyła 22 dziewczyny i 4 chłopaków; śmialiśmy się, że przypada na każdego z nas po 5 i pół dziewczyny – niż ślęczałem nad książkami.

Czas liceum, który na pewno jest bardzo ważny, kiedyś się kończy. To dobrze… Obserwuję nieraz, że przeżycia związane z grupą licealną, przyjaciółmi licealnymi trwają całe życie. Mogą być niezwykle ubogacające, kiedy są relacjami wzajemnego towarzyszenia sobie w życiu, pomocy wzajemnej, wspomnień. Czasem są jednak ograniczające; mam niejednokrotnie wrażenie, że niektórzy niejako zatrzymują się emocjonalnie, towarzysko na tym właśnie etapie, nie są w stanie przeskoczyć tego czasu licealnego. Dla nich na etapie liceum życie się właściwie zaczęło i skończyło. Na szczęście w moim przypadku tak nie jest. Kontakty są, ale nie zatrzymujemy się na latach, kiedy byliśmy młodzi i piękni. Akceptujemy to, że jesteśmy starsi i bardziej doświadczeni, a czas przeżyty w liceum ma być wyłącznie inspiracją, wspomnieniem, docenieniem tego, co się otrzymało od nauczycieli, lecz na pewno nas on nie ogranicza.

– *Czy nie jest też tak, że z sentymentem spotyka się na drodze swojego życia tych, którzy wyszli z tamtych murów, a nie innych?*

– Z pewnością jest to element jednoczący. Sam fakt, że rozmawiamy tu, mamy wspólny temat – mimo że dzieli nas kilka generacji, jest tego najlepszym dowodem. To, co nas łączy, to przecież to, że chodziliśmy do tego samego liceum. Sama szkoła wywiera więc jakiś stygmat, jakieś znamię na życiu każdego z nas i pozwala nam w lot się porozumieć. ■

Rozmawiała Izabela Skrobak

Katowice, 24 maja 2007 roku